Rok XIIIty. Nr. 19.



Szkółka niedzielna

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela czwarta po Wielkiéjnocy,* dnia 6. Maja 1849.

Religia.

Przed siwą głową powstań!

(Nadesłano.)

W naszym czasie zagnieździło się wiele nieuszanowania dla starszych, a ile ztąd szkody dla rzeczy publicznéj i pomyślności osobnych rodzin, Bogu samemu wiadomo. W przemyśle i rólnictwie, późniejsze pokolenia korzystają z odkryć dawniejszych, i tak coraz bardziéj się doskonalą, w życiu tylko nikt nie chce korzystać z doświadczenia ojców, i coraz w te same wpada błędy, coraz te same robi próby. Postępujemy, postępujemy! wołamy na przebój, a tymczasem w tył się cofamy; bo dzieci odrabiają, co ojcowie zbudowali, bo rozwalają podwaliny, a wieże chcą wznosić. — Wązka dróżka idzie nad przepaścią, i nie jednego już jezdzca rozhukany rumak w nią wrzucił; przestraszeni podróżni dali zaporę nad drogą; w krótce późniéj przybyli, wyśmiali tę ostrożność, zrzucili zaporę, i znowu się w otchłań potoczą. Zrzucamy zapory, wywracamy drogoskazy, i z dumą wołamy, iż nie zbłądzimy! a bodaj nie wpadniemy na same bezdróża i manowce. Wszystkoby to nie było, gdyby rada i doświadczenie starszych bardziéj były szanowane.

Naturalną jest rzeczą, że im kto więcéj żył, więcéj widział, więcéj z ludźmi obcował, tém lepiéj i więcéj umie; ręka może nie tak skora do działania, ale umysł stateczniejszy, aby wskazać, co i kiedy działać. Tymczasem ledwie chłopię doszło lat młodzieńczych, a już się wyrywa naprzód z całém zarozumieniem niewiadomości, nie pyta o radę ludzi starszych, przeżyłych, według niego, ale sam narzuca drugim swoje zdanie, rzuca się na prawo i na lewo, chce wszystkim kierować, wszystkiemi rozrządzać; potępia tych, obala tamto; a kiedy przez kilka lat boleśnych zawodów i próżno rozproszonych usiłowań, okupi wreszcie doświadczenie; kiedy wytrawiony, a nie mniéj gorliwy, mógłby skutecznie działać, odrzuca go już na bok zarozumiała młódź szkolna, która zmarnuje na nowo przez niewiadomość, rzutność młodzieńczą i siły narodu. Rzemieślnik nie powierzy sztucznych wyrobów niewprawnéj dłoni niewyzwolonego czeladnika; a mój Bo-

że, ileż to w naszym czasie niewyzwolonéj czeladzi do stéru rzeczy publicznéj się rzuciło! — a jeźli przyczyny tego bliżéj nas szukać zechcemy, znaleziemy ją w rozprzężeniu się węzłów rodzinnych, w braku uszanowania synowskiego, jak gdyby ta miłość dzieci ku rodzicom, która tak pospolitą się zdaje, wygasła nieomal między nami, tak w chatach jak i po dworach. Tam, widzimy nie jednego matkę lub ojca, którzy wiek cały stérali na pracy, ku wyżywieniu i przyodzianiu licznéj rodziny, a na starość, kiedy córki za ich staraniem powychodziły za mąż, synowie na swojém osiedli, — oni w ich domu ostatni zajmują kącik, najlichszą dostają strawę, jeźli im jéj po sąsiednich wsiach o żebraczym kiju szukać nie każą. Prawda, że każdy z chęcią obdarzy staruszka, bo nie jest hańbą, kiedy dłoń spracowana, co już pracować nie może, wsparcia od bliźnich zażąda; ale tém cięższa jest hańba dla dzieci, które ojców swoich i dziadków téj zawsze niepewnéj litości ludzkiéj porzucają. W zamożniejszych rodzinach, gdzie kawałek chleba nie tak trudno przychodzi; gdzie wreszcie rodzice zachowują sobie zwykle utrzymanie, niezawisłe od łaski synowskiéj; nie mniéj przeto wykraczają przeciwko téj miłości, którąby podstawą całego porządku społecznego nazwać można. Już temu sto lat blisko, biadał angielski jeden pisarz: „Nie mam sobie do zarzucenia wielkich wykroczeń przeciw moim doskonałym rodzicom, a przecie, kiedy pamięcią przechodzę całe moje życie od lat dziecinnych aż dotychczas, stanie mi przed oczy pełno przewinień, na którem nie zważał wcale, póki sam ojcem nie zostałem. Nie miałem wyobrażenia, co za radość przenika serce człowieka, kiedy jego dziecko zasłuży na pochwałę; a co za boleść go ściska, kiedy coś niegodnego uczynić zamierza. Nie mogę wypowiedzieć, ile uczułem zgryzoty sumienia za pełno drobnych uchybień matce, kiedy dnia wczorajszego moja żona zbladła, patrząc przez okno na młodszego syna, który upadł na lodzie. Można z tego wnioskować, ile to małych zbrodni popełniają nieraz dzieci, które wtedy dopiero żal w nich wzbudzają, kiedy sami już są ojcami, a tych, których obrazili, nie masz już może na świecie. Przypominam sobie, ile razy mógłem się przypodobać ojcu, a nie chciałem, jedynie dla tego, iż jego życzenie zdało mi się kaprysem starości." — I tak zaiste, miasto coby dorośli synowie i córki mieli rozweselać dom rodzicielski, przynoszą doń zazwyczaj same znudzenie i wymagania; mili, usłużni względem obcych, dla rodziców i krewnych ćwierć mili by z drogi nie zboczyli, nie znieśli najmniejszego przymusu; weseli, rozmowni w towarzystwie, w kole rodzinném są ponurzy i ziewający. Jeźli ich ojciec zatrzyma przy sobie, aby się ćwiczyli w gospodarstwie, tęschnią sobie, i nie wezmą się szczerze do pracy, aby mu ulżyć ciężaru; jeźli im co wypuści, skarzą się, że nie dość zagospodarowane, że młodym i silnym jeszcze coś do zrobienia zostało. Pomimo tego, w domu własnym byle czém się obywają, w rodzicielskim wszystko przebredzają — żaden z domowników dogodzić im nie może; tego łają, tamtego ofukną, a w jeich domach najmniejszéj nagany rodzicom wypowiedzieć nie wol-

no, i serce czasem boli, jak posiwiały ojciec, lub matka, musi słów dobierać, mówiąc do syna, i w bawełnę obwijać najzbawienniejszą radę, aby nie obrazić dorosłe dzieci!

A cóż dopiero powiedzieć o dalszych krewnych, owych wujach, stryjach i ciotkach, którzy tworzyli dawniéj poważny, a zawsze życzliwy trybunał rodzinny? — Teraz, któż się o nich spyta, kiedy ich rady zasięgnie? — Wtedy tylko, gdy który z nich hojny a zamożny, może zapełnić wypróżnioną kieszeń siostrzeńca; ale prawdziwe bogactwo przeszłości, bogactwo doświadczenia i rozumu, stracone dla młodszego pokolenia, ażeby zakończyć gminném przysłowiem: „Kurczęta chcą być mądrzejsze od kokoszy.“

Rozmaitości.

O Bemie.

Słyszeliście pewnie już kiedy o Węgrach, co to sąsiadują z Polską, i że kiedyś jednych z nami miewali Królów. Żeśmy nawzajem sobie niczego nie zajrzeli, więc wzgodzie z nimi żyliśmy, i w naszych nieszczęściach zawsze Węgry nas żałowali, pomódz czynnie nie mogąc, bo ich Austryak zawojował, i choć niby to swój rząd i sejm mieli, nic bez woli Cesarza austryackiego, który był i ich Królem, zrobić nie mogli; ale szczerze tęsknili za wolnością i chętnie nieśli dla niéj ofiary. Kiedy przeszłego roku rewolucya w Wiedniu wybuchła, Węgrzy zażądali niepodległości; nie chcieli oni wprawdzie zrzucać z tronu Króla Niemca, ale żądali takich praw, żeby się od ucisku niemieckiego zasłonić. Broili oni wiele złego i dokuczali Słowianom u siebie mieszkającym, ale o tém inną razą opowiem wam historyą; dosyć, że im Cesarz i Król ich w Wiedniu zezwolił na wszystko, a jak się namyślił i wojska ściągnął, to odwołał przyrzeczenia i złożył koronę, zostawiając pobicie Węgrów swemu synowcowi jako następcy tronu. Na to Węgrzy porwali się do broni. Stanął na ich czele Kossuth, człowiek bardzo zręczny, i ten choć nie żołnierz, zaczął zwoływać pospolite ruszenie, bo wojska węgierskie Niemcy tak jak naszą landwerę na Duńczyków, na Włochów posłali, pierwéj jeszcze, nim to wszystko się stało. Że jednak brakło Węgrom Generałów, więc w imie dawnéj przyjaźni z Polakami, zaprosili sobie Dembińskiego, Bema i mnóstwo innych oficerów polskich z emigracyi, co się w powstaniu z 1831 r. z Moskalami odznaczyli. Ci przybyli na zawołanie, uorganizowali wielką armią węgierską, i Dembiński prowadził jednę część przeciw Windiszgrätzowi, generałowi austryackiemu, a Bem drugą przeciw Puchnerowi w Siedmiogrodzie, zkąd to kiedyś Stefan Batory, nasz Król, pochodził, a który to kraj teraz do Węgrów należy. — Bem pierwszy spotkał się z Puchnerem, który się odgrażał, że w jednéj bitwie pobije Węgrów, a Bema powiesi. To się téż jak úwinął Bem, jak zaczął tu i owdzie szarpać Niemców, a ściągać Węgrów do siebie, tak Puchner musiał aż prosić Moskali na pomoc, i z łaski dali mu kilka tysięcy żołnierzy, którzy obsadzili niemieckie miasta, bo te największy strach

przed Węgrami miały, i Puchner odetchnął trochę, pewny teraz wygranéj. Tymczasem kiedy już głosiły niemieckie gazety, że Węgrzy pobici, uciekają się w rozsypkę, Bem z 12tu tysiącami powstańców ominął daleko Puchnera, nagle stanął przed Hermanstadem, gdzie Moskale byli okopani, zdobył szturmem miasto, Moskwę z hańbą, dawszy im krwawą nauczkę, zkąd przyszli wypędził, i obsadził miasto, dając zapewnienie wystraszonym Niemcom, że im, byle spokojnie siedzieli, włos z głowy nie spadnie. Poczém nie czekając wrócił się za Puchnerem, pobił go w jednéj bitwie i z niedobitkami po za Siedmiogród wyrzucił. Tak się popisał polski generał; jak w boju, tak mężko i zwycięzko trzepie nieprzyjaciela; jak zwycięży, to znowu łagodny, nad bezbronnym się nie pastwi. Węgrzy téż dosyć nachwalić się Bema nie mogą, żołnierze kochają go, a sejm dał mu krzyż z brylantem największym z węgierskiéj korony, którą na to miejsce jego nazwiskiem ozdobił. Austryacy, co pierwéj lekko mówili o Węgrach i o Bemie, sami oddają cześć ich waleczności i talentowi ich wodza, a Moskale, z którymi Bem od oblężenia Warszawy się nie spotkał, i przypadkiem tylko odnowił znajomość, siedzą cicho gdzieś coś na Wołoszczyznie, i gniewają się na Niemców, że dla ich całości sami na przegraną się narazili.

Nakładem i drukiem *Ernesta Günthera* w Lesznie. — (Redaktor: X. *T. Borowicz.*)